



Portal „achbar ha-ir”, 23.04.2009

AVNER SHAVIT

PEWIEN POLAK WCHODZI DO RESTAURACJI...

Chciałbym was zobaczyć, jak spędzacie intymny wieczór w towarzystwie malkontenta, Polaka, Jerzego Skolimowskiego, najprawdopodobniej najmniej towarzyskiego reżysera na świecie.

Wyraz twarzy Jerzego Skolimowskiego prawie wcale się nie zmienia. Polski filmowiec, lat 71, wygląda bardziej jak postać z ponurego filmu, niż jak poetycki twórca. Nic więc dziwnego, że David Kronenberg wybrał właśnie jego, aby zagrał w filmie grozy „Eastern Promises”. Skolimowski jest postawnym mężczyzną, ubranym w garnitur prywatnego detektywa. Siwizna włosów dodaje tylko smutku jego ojcowskiej postaci. Co gorsza – ma on zwyczaj obdarzać napotkane na swej drodze przeszkody spojrzeniem przygważdżającym i ponurym. Ale mimo wszystko jego obojętność nieco pierzchła, gdy tamtego wieczoru spotkałem go w Cinematece.

Polski reżyser przybył do Izraela, aby uhonorować swoją obecnością otwarcie najbardziej wszechstronnej retrospektywy swej wieloletniej twórczości. Wydarzenie rozpoczęło się jednorazowym pokazem jego najnowszego i obsypanego pochwałami filmu „Cztery noce z Anną”. Sala była wypełniona jak należy, ale na krótkiej drodze z Cinemateki do restauracji, gdzie po projekcji odbyła się uroczysta kolacja na jego cześć, coś się skomplikowało. Mówiąc po prostu – wszyscy uciekli. Szybko okazało się, że tylko dwoje miejscowych, ktoś z zespołu Cinemateki i moja skromna osoba, przybyło, aby umilić czas Skolimowskiemu i Ewie Piaskowskiej, jego drugiej żonie (o wiele od niego młodszej) i współniczce jego obecnej twórczości. W tym momencie dało się zauważyć na twarzy tego zimnego jak lód człowieka lekki grymas – nie był zadowolony.

I rzeczywiście, można było oczekiwać bardziej przyzwoitej obecności. Skolimowski nie jest tak sławny jak reżyser Roman Polański, u boku którego rozwinął się w Polsce wczesnych lat 60-tych. Po opuszczeniu swej ojczyzny pod koniec tejże dekady zrealizował niemalże błahych projektów w języku angielskim i francuskim, a z początkiem lat 90-tych zniknął z powierzchni ziemi i nie wyreżyserował nic przez 17 lat. Wcześniej jednak Skolimowski zdążył sprawić nam przyjemność „Fuchą” i „Na samym dniu” oraz jeszcze kilkoma innymi ważnymi i wyjątkowymi perłkami. I nie ma żadnych wątpliwości, że jest on jednym z najbardziej interesujących twórców wschodnioeuropejskich ostatniego 50-lecia. Jednak świat izraelskiego kina nie otwiera się chętnie na gości z zagranicy, chyba, że można im wcisnąć jakiś scenariusz lub wyblagać nadzieję na rolę w jakimś kolejnym filmie, a Skolimowski nie jest człowiekiem, który mógłby spełnić takie życzenia.

Jeśli więc nie, to co może zrobić? Może podzielić się czymś ze swego zasobu przebogatej wiedzy i zasypać wskazówkami obejrzenia mnóstwa filmów, o których nikt nigdy nie słyszał, wśród nich dzieł nieznanymi reżyserów czeskich i słowackich. „Poszukajcie też filmu ‘Charlie Bubbles’” – mówi. „To pierwszy film kinowy wyreżyserowany przez Alberta Finneya i niestety także ostatni”. Przy tej okazji poleca jeszcze bardziej zapomniany film brytyjski „Four in the Morning”, jeden z pierwszych, w którym wystąpiła Judi Dench. Skolimowski widział je wszystkie w bardzo krótkim czasie, teraz już w ogóle nie ogląda filmów, a w młodości nie marnował energii na kino. „Na początku swej drogi artystycznej tworzyłem poezję” – opowiada. „Wiersze, które pisałem, były bezwartościowe, ale to dzięki nim spotkałem Andrzeja Wajdę. Los chciał, że pisał właśnie scenariusz do „Niewinnych czarodziei”, filmu o polskiej młodzieży. Ponieważ sam zaliczałem się do tej grupy, Wajda poprosił mnie abym sprawdził, na ile ten scenariusz jest wiarygodny. Okazało się, że nie ma żadnego związku między tym, co napisał, a

sposobem, w jaki młodzi rozmawiają. Zaproponował mi więc, abym to ja napisał ten scenariusz. Wziąłem więc na siebie tę pracę i odkryłem, że to dość łatwa praca, więc obiecałem sobie, że właśnie tym się będę zajmował”.

I rzeczywiście, Skolimowski dotrzymał słowa i dwa lata później napisał scenariusz do „Noża w wodzie” Polańskiego. Ze wszystkich filmów, w których miał swój udział, właśnie ten dramat psychologiczny był i jest nadal najbardziej znany, co z pewnością nie przyczynia się do jego dobrego samopoczucia. „To nie jest tak dobry film, jak wszyscy mówią” – stwierdza z całą stanowczością. „Nie mów tak Jerzy, to nieprawda” – interweniuje Ewa. „No dobrze, dialogi są w nim niezłe” – zgadza się Skolimowski.

„Nóż w wodzie” prezentuje pojedynek słowny, w którym każde słowo jest rzeczywiście ostre jak nóż. W przeciwieństwie do tego filmu, w „Czterech nocach z Anną” bohaterowie prawie wcale nie rozmawiają. Jak mówi reżyser, także w filmie, nad produkcją którego teraz pracuje, nie ma zbyt wiele paplaniny. Przy tym wszystkim wydaje się jednak nieprawdopodobne, że ten były mistrz słowa wstąpił teraz do filmowego zakonu milczków. „Nie mieszkałem w Polsce przez wiele lat, ani w niej nie tworzyłem” – wyjaśnia. „Dlatego też straciłem kontakt z językiem, i – o ironio! – znalazłem się w tej samej sytuacji, w jakiej w swoim czasie był Wajda. Nie mam pojęcia, jak ludzie naprawdę rozmawiają. Jeśli chodzi o mnie, wolę aby bohaterowie filmowi milczeli, niż by mieli rozmawiać w sposób całkowicie oderwany od rzeczywistości”.

Swój najbliższy film Skolimowski nakręci w puszczy, niedaleko odosobnionego i oddalonego miejsca, w którym mieszka teraz w Polsce. Nie przepada za zgiełkiem miasta. Nie lubi także specjalnie Tel Awiwu. „Dowiedziałem się, że obchodzi właśnie teraz 100-lecie, ale uważam, że jest dość brzydki”.

Kolacja odbywała się w restauracji rybnej, do której Cinemateka zaprasza zawsze swych gości, aby mogli poznać „autentyczną” kuchnię izraelską, ale właściciel przybytku zorientował się skąd pochodzą jego goście i postanowił zaserwować im danie, którego nie ma w stałym menu – kaszę gryczaną, jak zwą ją w języku Skolimowskiego (i Franka Costanzy). Smakosz zjadł ten przysmak aż do końca, ale w ogóle nie tknął żadnego z licznych talerzy z rybami, które podano na stół. „Nie szkodzi, zapakują i podadzą kotom” – zaproponował.

Wieczór był mniej napięty, niż można się było spodziewać, ale zakończył się małą konsternacją. Jakos wyrwało mi się powiedzenie prawdziwe, ale nieostrożne, o tym, że we współczesnym kinie europejskim scena gwałtu stała się banałem. „Rzeczywiście. U mnie jest nie tylko jedna scena gwałtu, są dwie” – powiedział Skolimowski. „Ale u pana to jest – rzecz jasna – inaczej. Pan wie, jak zmierzyć się z gwałtem, problem w tym, że inni nie wiedzą” – postarałem się szybko wybrnąć. Być może ta odpowiedź go zadowolila, a może nie. Po nim trudno cokolwiek poznać.

W drodze powrotnej do hotelu Skolimowski natknął się na młodą kobietę, która wyszła z pokazu jego filmu bardzo poruszona. „Bardzo dziękuję za film” – powiedziała mu i zaraz wyraziła zdziwienie jedną z zawartych w nim zagadek. „Wszystko można interpretować na kilka sposobów” – odpowiedział jej chłodno i zaraz odprawił. „No, Jerzy, mogłeś być bardziej grzeczny” – zwróciła mu uwagę Ewa kilka sekund później. Nie odpowiedział.

Tłumaczenie: K.D.Majus